

Hej, kołęda, kołęda...

– A kiedy już raz będzie ten koniec świata [...]
– Kiedy ludzie przestaną świętować i trembitować, kiedy zapomną kołędy i dzwonów z Rachmańskiej krainy, kiedy zaniechają pisanek i Jurijsa...

S. Vincenz, *Na wysokiej połoninie*

Pisał Mieczysław Limanowski: „Słońce rządzi zbiorową duszą narodu – syn nieba jest owym guślarzem, który prowadzi długi korowód polskiego roku na kształt bogatego chóru poprzez orgiazm wiosenny do żniw, a potem do wielkich radości i wielkich poruszeń na wiosnę, zaprawdę poprzez przepaści i rzeki obłędne, grożące”¹. „Powoli następuje przesilenie. Krew otrząsa się z upałów, wyzwala z żaru, w którym się kąpała. Dzieje się to z szarugą, która spada na wszystko. [...] Coraz dłuższe są noce, a jednak z nimi coraz większa pewność cudu. Czarne ptaki zbite chmurą kraczącą nad polami przestają straszyć. Z kominów wzbija się dym uroczyście i spokojnie do góry. Biała równina skrzy się śniegiem po nocach dziwnie kojąco. Ktoś niewidzialny dotknął naszego serca – ono ożyło.

* * *

W żłobie leży, któż pobieży...

Właśnie w chwili, kiedy mroki zdawały się zatapiać świat, zwyciężać do końca, dusza zrozumiała odwieczną prawdę zmartwychwstania, odwieczną dobrą nowinę: **Ś w i a t ł o**.²

Dla dawnych Słowian, u których dominował kult solarny, noc przesilenia zimowego była jednym z najważniejszych świąt. Oto znów otwierała się brama łącząca dwa światy – żywych i umarłych. Jasność przejmowała władzę nad światem – rodziło się nowe słońce, gwarantujące odrodzenie uspionego na czas zimy życia. Natura ujawniała swą siłę i dobroć, wydłużający się dzień dawał nadzieję dobrych zbiorów i dostatku. Wykopaliska archeologiczne każą przypuszczać, że najwyższe bóstwo witano z należną mu czcią: wychodzono na spotkanie, składano ofiary w świętych miejscach, urządzano pełne magii rytualne gry. Uczestnicy takich uroczystości nosili kultowe wyobrażenia i symbole solarne, bądź przywdziewali odpowiednie maski, a radość z nadejścia panowania słońca uzewnętrzniała się z pewnością w pieśniach, zabawach, ucztach.

Na przełomie III i IV w. Kościół zdecydował o obchodzeniu Bożego Narodzenia w grudniu, w okresie rozpowszechnionych w późnym cesarstwie rzymskim mitraistycznych świąt „Niezwyciężonego Słońca” („Solis invicti”). To swoiste „ochrzczanie” pogańskiego rytuału pozwoliło mu funkcjonować jeszcze przez wieki, choć upływający czas zatarł lub zmienił magiczne znaczenie świętej symboliki. A przecież w pogańskim kulcie słońca można doszukać się pierwowzoru np. gwiazdy kołęd-

niczej, którą chrześcijaństwo wytłumaczyło jako ową gwiazdę, wskazującą drogę trzem mędrcom ze Wschodu. „W zbiorze *Pastorałek i kołęd*, wydanym w Krakowie w 1843 r., znajdujemy kołędę, która zdaje się nawiązywać do pierwotniejszych treści, mówiącą o słońcu i Chrystusie jako ‘słońcu utajonym’ i ‘słońcu przedwiecznym’.”³

* * *

Mieszkańcom miejskich bloków obyczaj kołędowania kojarzy się najczęściej z przechodzącymi właśnie mutację chłopcami, którzy trzymając w rękach tekturową szopkę fałszują wytrwale czekając na pieniężny datek. W tradycji chrześcijańskiej przyjął się również inny zwyczaj – swoich parafian odwiedzają duszpasterze, ale wizyty te są najczęściej krótkie, chaotyczne, „bo jeszcze czterdzieści mieszkań przed nami”.

Pisał Stanisław Vincenz: „Jedno trzeba przyznać, że nasi kołędnicy nie tak chodzą jak ci kościelni gdzieś tam na dołach, co chociaż wyuczeni dobrze, wyklepią prędko swoje, jakby cepem, byle tylko parę złotych na Kościół wydostać i już lecą dalej! Nie, chrześcijańska wiara wynudzonych pieniędzy nie potrzebuje. Potrzebna jest ochota udała. Chce porwać, zachwycić, zyskać sławę. Po miastach uczeni, światli ludzie chodzą do teatru, cieszą się przedstawieniami. U nas, na kołędzie, cały teatr przychodzi do chaty.”⁴

* * *

Starsze pokolenie ludzi mieszkających na wsi pamięta jeszcze kilkunastoosobowe nawet grupy kołędników chodzących od domu do domu z Gwiazdą, Aniołem, Diabłem, Herodem, Śmiercią. Grupie takiej zawsze towarzyszyło jakieś wszędobylskie zwierzę: w zależności od regionu był to Niedźwiedź, Wilk, Bocian, Turoń, Koza lub Konik. Obyczaj ten przetrwał tylko w niewielu rejonach Polski, toteż coraz rzadziej można być świadkiem kołędniczego „najścia”.

W 1993 roku wraz z grupą przyjaciół z różnych miast Polski miałem niezwykłą możliwość uczestniczenia w wyprawie kołędniczej Teatru Wiejskiego „Węgałty”. Pojechaliśmy do miejscowości Ostre Bardo i Stopki (zaledwie kilka kilometrów od północnej granicy), które zamieszkuje głównie ludność ukraińska, przesiedlona w ramach akcji „Wisła”.

* * *

Kilka dni prób. Nauka kołęd, śpiewanie od rana do późnej nocy. Powtarzanie scenek – dziesiątki razy: w różnych składach, w różnym układzie, z różnymi pieśniami. Chodzi o to, aby cała sytuacja była żywa, ciągle spontaniczna, aby wciąż zmieniające się osoby proponowały coś nowego, osobistego. Wszyscy zdajemy sobie sprawę ze specyfiki sytuacji, w jakiej już niedługo się znajdziemy – będziemy musieli przekonać gospodarzy, że warto nas zaprosić do domu. „Teatr przychodzący do chaty”. Teatr, który może zostać odrzucony. Teatr, który musi trafić do najgłębiej ukrytych emocji. Wskrzeszona zostaje pradawna,

magiczna rola teatru – zapewnienie porządku świata poprzez odtworzenie rytuału.

Już teraz czujemy to, o czym pisał Wacław Sobaszek: „W praktyce kolędnika, w długim śpiewaniu pojawia się coś takiego, że po jakimś czasie dociera on do zupełnie innego odczucia melodii. [...] Więc po jakimś czasie te motywy odżywają, te proste melodie stają się zupełnie inne i człowiek jest jakby oczyszczony z tych wrażeń, które miał na początku. Jest tak, jakby rzeczywiście odczuwał melodię jako odbicie emocji, czyjeś, dawnej. Do tego wyobraźmy sobie cały trud, [...] smak śniegu topniejącego, poczęstunków, gorzałki – to wszystko razem trzeba sobie wyobrazić.”⁵ Więc wyobrażamy sobie i śpiewamy, śpiewamy...

I wreszcie wyruszamy...

* * *

Najście:

Dobryj wieczir tobi, pane gospodarzu. Radujsia!

Oj, radujsia zieme, Syn Boży narodytsia!

Po kilku zwrotkach nawet w całkowicie ciemnych chatach zapala się światło, a w drzwiach staje gospodarz. Zza jego pleców ciekawie spoglądają na nas pozostali domownicy: oto wśród styczniowej nocy (Boże Narodzenie przypada u prawosławnych na 7 stycznia) stoi kapela, po obejściu grasuje Koza, Anioł kręci błyszczącą gwiazdą, a wszyscy śpiewają ukraińską kolędę! Wedle słów jednego ze starszych mieszkańców Stopek, coś takiego zdarzyło się tu po raz pierwszy. Nic więc dziwnego, że na twarzach domowników pojawia się uśmiech zaskoczenia, niedowierzania, a przede wszystkim zakłopotania, ale szarżująca Koza szybko rozwiewa atmosferę niepewności.

Zapraszamy!

* * *

Jaselka:

Wo Wyftejemi nyini nowyna:

Preczysta Dywa zrodyła syna;

W jastach spowytyj, pomiż bydljaty

Spoczyw na sini Boh nieobniatyj.

W niewielkich izbach, w kuchniach, niekiedy w sieniach robi się tłoczno. Kolędnicy ciągle śpiewając opanowują na chwilę cały dom – Koza, której wolno dosłownie wszystko, podbiega do telewizora i wyłącza go bezceremonialnie. Ktoś gasi światło. Pozostaje tylko nikły blask latarni, która nie wiadomo jak znalazła się nagle na podłodze. Tak samo niespodziewanie pojawia się krzesło, a na nim postać cała przykryta płachtą, ponad którą widać tylko olbrzymią drewnianą głowę – „Oto król Heród, co zasiada na tym tronie i śpiewa burzowe pieśni”:

Biadaż mi, biada, I mnie Heródowi,

Utrapienemu, zasmuconemu tak wielce królowi.

Moje sławne rycerze gdy wojskiem kierują

Nawet memu synu, synu dwuletniemu, życia nie darują.

Nagle pojawia się Śmierć – w powłóczystej, białej szacie, z drewnianą kosą w ręku podbiega do Heroda krzycząc:

Chodziłam po świecie, mało żem nie zmarła,

Alem cię wreszcie w tym domu znalazła.

Ostatnie ci słowo powiadam i kosę na szyję zakładam!

Rozpoczyna się groteskowy taniec – Herod obraca się wkoło ze Śmiercią, a wszystko to w niezwykłym zwolnieniu potęgującym napięcie. Kolędnicy intonują pieśń-przestrołę o śmierci, która zabiera każdego bez względu na stan, wiek, płeć. Taniec staje się coraz wolniejszy, Śmierć majestatycznie zakłada Herodowi kosę na szyję, by wreszcie zdecydowanym ruchem odłączyć ją od tułowia. Jakby spod ziemi zjawia się Diabeł – po chwili szamotaniny zgadza się na kompromis ze Śmiercią – „Moja dusza, twoje ciało”. Przeraźliwie chichocząc Diabeł znika tak nagle, jak się pojawił. Na chwilę zapada cisza. Lecz oto jakiś delikatny głos zaczyna śpiewać:

Gloria in cielo pace in terra,

Nat' é'l nostro salvatore!

Z mroku wyłania się Anioł, by ogłosić światu dobrą nowinę. Po chwili przyłącza się do niego cały chór i płyną dawne wielogłosowe pieśni bożonarodzeniowe:

Z Bożego Narodzenia Anjeli się weselą,

Radując się śpiewają, jednego Boga chwalą.

Podczas całej wizyty przeplatają się kolędy polskie i ukraińskie, gdyż nasi gospodarze od niemal półwiecza ulegali polonizacji, stając w ten sposób na pograniczu dwóch kultur.

* * *

Zabawa:

Hej, hej, hej! Weselmy się, radujmy się,

Pożądany narodził się. Hej, hej, hej!

Skrzypce, bęben i akordeon dają sygnał:

W szatamaje i w klawicymbały,

aż Panięciu nóżki będą drgały!

Ktoś zapala światło. Uśmiechnięta Śmierć podbiega do gospodarza, Diabeł do gospodyni i zaczyna się taneczne wirowanie, opędzanie się od wścibskiej i wszędobylskiej Kozy, radosne pokrzykiwania, błyszczące oczy. Wszystko to w niewyobrażalnej ciasnocie. Jest to „ten rodzaj tańców – jak je Vincenz opisuje – które z zasady prowadziły do wyczerpania. Chodziło o prawdziwe zanurzenie się w tańcu, aż do momentu, kiedy już dalej nie można. Może właśnie gorzałka potrzebna była do wydłużenia czasu, do tego, by ten moment się odsuwał.”⁶ A kolędnikom zależy, aby ów moment wyczerpania jak najbardziej odwlec.

* * *

Przymówka:

Gospodarzu! Daj no ten dzban piwa!

Niech do grania ochoty przybywa!

Pośród zabawy zaczyna się krzątanie – zrazu nieśmiało, potem coraz pewniej pojawiają się na stołach świąteczne potrawy, herbata, kawa. Czym chata bogata! Gospodarz otwiera butelkę

wódki – samogon? Odmawiać nie wypada – to przecież tradycyjny sposób zawierania przyjaźni. A trzeba się mieć na baczności, jeżeli nie chcemy zakończyć kołędowania już w tej chacie. Toteż nauczeni doświadczeniem sączymy trunek powoli – jeżeli ktoś wychylił kieliszek zdecydowanym ruchem, w tej samej sekundzie miał znów pełne naczynie: „Na zdrowie” – śmieje się pan domu. Gospodyni stawia ciągle nowe naczynia na stole. Jedzcie! Dziękujemy!

* * *

Koza:

My nie sami idiem

My Kozu wiem.

Maszkary towarzyszące kołędnikom to pozostałości pogaństwa. Niektórzy badacze uważają, że odzwierciedlają one pewne stadium antropomorfizacji bóstw zwierzęcych. Stąd bierze się wiara w ich magiczną moc:

De Koza chodyt

Tam żyto rodyt!

Można wnioskować, że zwierzęce maski kołędnicze powtarzają rytualne nawiedzenie domostwa przez bogów, co zapewnia urodzaj i dostatek na następny rok, „Pierwotną ‘akcją’ odgrywaną przez Turonie, Kozy, Koniki jest padanie na ziemię i powstawanie. [...] Akt padania i powstawania praktykują maski występujące w okresie przesilenia zimowego – ich pierwotny sens musiał polegać zatem na przedstawieniu śmierci Słońca ‘starego’, a wraz z nim całej przyrody, oraz odrodzenia się Słońca ‘nowego’ i zależnego odeń życia. Ta mimezis miała magicznie zapewnić zaistnienie rzeczywistego przesilenia i odrodzenia.”⁷

To samo mniej więcej dzieje się z „naszą” Kozą. Pada zastrzelona, czym wzbudza śmiech domowników. Po długiej i arcykomicznej agonii wreszcie zamiera w bezruchu. Wtedy podchodzi do niej jeden z muzykantów i „nadyma Kozu taj u żywotoczka”, czyli wdmuchuje w nią życie przez otwór zdałoby się najmniej podatny do tego szlachetnego celu. Ożywiona Koza zrywa się z podłogi i radośnie podskakując znów zaczyna nacierać na ucieszonych jej cudownym zmartwychwstaniem gospodarzy. Rytuał się dopełnił – porządek świata został ocalony na następny rok...

* * *

Błogosławieństwo:

Prosym Tebe, Carju, nebesnyj Władarju,

Daruj lita szczęśliwyj cjocho domu gospodarju.

Cjocho domu gospodarju i cij hospodyni,

Szczoby oni doczekały za rik, za rik cieć dni.

O ile odtworzenie magicznego rytu upadania i powstawania Kozy pozwala trwać światu we względnym porządku, o tyle błogosławieństwo jest już sprawą indywidualną – dotyczy tylko gospodarzy. Daje im pewność, że ich życie nie jest odosobnione, że jest jeszcze ktoś, komu na nich zależy, kto modli się o ich

zdrowie – stąd często pojawiające się łzy wzruszenia. Jest to jednocześnie kulminacyjny punkt kołędniczego najścia i podziękowanie za wspaniałe przyjęcie. Wychodzimy pełni radości, ale ręce ciągle jeszcze mamy puste.

* * *

Przymówka:

Macie nam co dać, to nie żałować:

Flaszkę wina, beczkę piwa.

Z chęcią wypijemy, a za resztę Wam państwo podziękujemy!

„Michonosza” otwiera swój przepastny worek i wyraźnie daje gospodarzom do zrozumienia, co należy uczynić. Ale oni jakby czekali na ten moment: wrzucają do worka przygotowane wcześniej smakołyki, butelczyny, pieniądze... Kłaniamy się nisko! Na pewno tu wrócimy!

* * *

– A skąd wy jesteście?

– Z dalekiego, bogatego, szczęśliwego kraju...

* * *

Pisał Limanowski: „Błogosławione jest wielkie Jedno, gdy pozwala ciągnąć nauki z przeszłości i przez to stawiać przyszłość pod wyższym znakiem, głęboko zakorzenionym w przeszłości.”⁸

* * *

Skończyło się kołędowanie, którego nikt z nas z pewnością nie zapomni. Kilka dni, które zupełnie zmieniają widzenie świata. Kilkadziesiąt godzin intensywnego przeżywania, zachłystywania się niezwykłością tego czasu. I przede wszystkim – poczucie niezbędności tego, co się robi: corocznego rytuału ocalania i odnawiania życia. Podążając tropem wskazanym przez Vincenza można śmiało stwierdzić, że „jednym z nielicznym dziś filarów pozwalających istnieć temu światu jest Teatr Wiejski „Węgałty”. Oby nie pozostał kiedyś jedynym.”⁹

Sławomir Gostański

PRZYPISY:

¹ M. Limanowski, *Rok polski i dusza zbiorowa* [w:] M. Limanowski, *Był kiedyś teatr Dionizosa*, oprac. Z. Osiński, Instytut Sztuki PAN, Warszawa 1994, s. 127.

² Tamże, s. 126–127.

³ O. Kolberg, *Lud*, seria 5: *Krakowskie*, cz. 1. [przedruk] PWM, Wrocław – Poznań 1963, s. 250 – przytaczam za K. Targosz, *Korzenie i kształty teatru*, Secesja, Kraków 1995, s. 28.

⁴ S. Vincenz, *Na wysokiej połoninie*, Warszawa 1980, t. I, s. 129, cyt. za W. Sobaszek, *Ewolucja teatru wiejskiego?*, Polska Sztuka Ludowa. Konteksty, 1991, nr 34, s. 71.

⁵ W. Sobaszek, *Ewolucja teatru wiejskiego?* op. cit., s. 71.

⁶ Tamże.

⁷ K. Targosz, *Korzenie i kształty teatru*, op. cit., s. 40.

⁸ M. Limanowski, *Rok polski...*, op. cit., s. 132.

⁹ T. Kornaś, *Wędrowcy z Rachmańskiej krainy*, „Teatr” 1991, nr 2, s. 21.